PETER JAMES

LUDZIE DOSKONALI

UWAŻAJ, O CO PROSISZ...

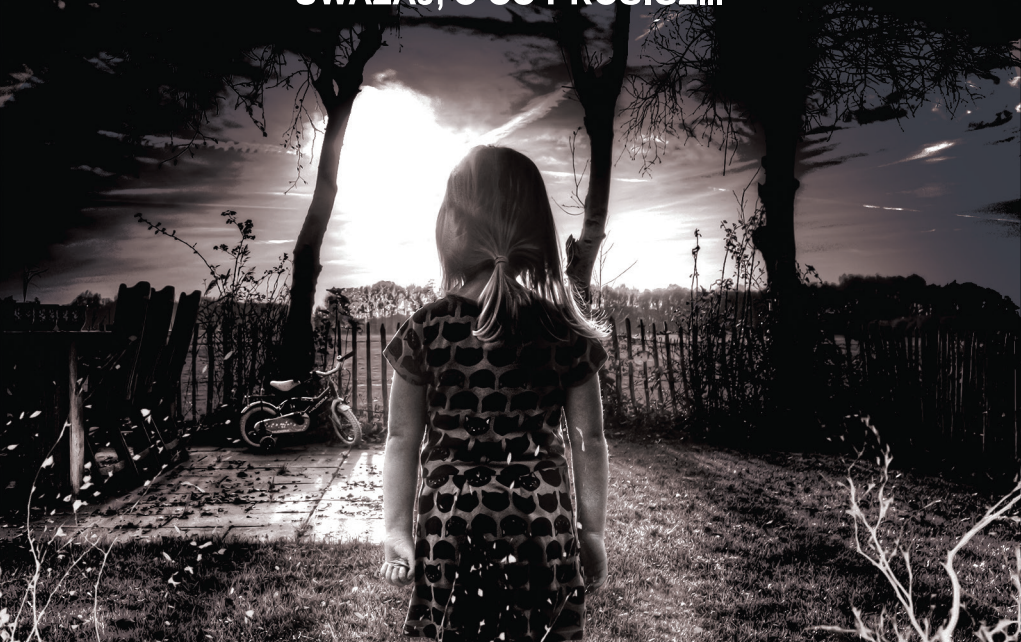

1

Późnym kwietniowym popołudniem, trzydzieści mil morskich na wschód od Cape Cod, smagana wiatrem młoda para o zatroskanych twarzach, zaciskając dłonie na relingu, stoi z bagażem na lądowisku dla helikopterów przerobionego statku pasażerskiego.

Oboje wiedzą, że jest już za późno na wątpliwości.

Zamalowane wgniecenia, pęknięcia i nity czterdziestoletniego statku *Serendipity Rose** upodabniają go do starej dziwki próbującej się upiększyć makijażem. Gdy tak brnie przez wzburzone fale, z panamską banderą łopoczącą na rufie, wiatr rozrywa na strzępy wstęgę dymu z żółtego komina. Statek płynie na tyle szybko, by stabilizatory działały, ale nie spieszy się, nie dąży do żadnego celu. Bezpiecznie meandruje poza liczący dwanaście mil morskich pas wód terytorialnych Stanów Zjednoczonych. Z dala od amerykańskiego prawa federalnego.

Trzydziestokilkuletni John Klaesson, w kurtce z futrzaną podpinką, grubych bawełnianych spodniach i skórzanych żeglarskich półbutach, przypomina bardziej ogorzałego alpinistę czy podróżnika niż pracownika akademickiego, którym jest. Szczupły i silny, ma ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, krótkie jasne włosy, łagodne niebieskie oczy za małymi owalnymi okularami i przystojną, poważną twarz o nordyckich rysach, z lekką kalifor-

---

* Serendipity (ang.) – dokonywanie przypadkowych odkryć.

nijską opalenizną.

Jego żona Naomi, w dżinsach i czarnych zamszowych butach na lateksowej podeszwie, ostrożnie próbuje utrzymać równowagę, kuląc się w długim płaszczu z wielbłądziej wełny założonym na żakiet. Splątane kosmyki modnie przyciętych na pazia jasnych włosów smagają śliczną twarz, podkreślając chłopięcy nieco wygląd. Jest znacznie bledsza niż zazwyczaj.

Nad ich głowami unosi się helikopter, którym tu przylecieli. Maszyna krwawi spalinami na wietrze, ciągnąc własny cień po statku niczym wielki pusty wór. John tak właśnie się teraz czuje: jakby wysypano go z worka. Z głową pochyloną z powodu huku i malstromu, wyciągniętą ręką pomaga żonie stanąć, ujmuje jej szczupłe ciało pod miękkim płaszczem i czuje, że jest jej bliski, rozpaczliwie bliski. Pragnie ją chronić.

Czuje się też odpowiedzialny.

Wiatr jest tak porywisty, że John musi oddychać haustami; sól pokrywa okulary, spaliny drapią w ustach i wyschniętej ze zdenerwowania krtani. Włosy Naomi smagają go po twarzy jak bicze. Pokład to opada pod nim, to się wznosi, napierając na stopy jak podłoga windy, aż żołądek podchodzi do gardła.

Łoskot wirników w górze nie zagłusza odgłosu szurania. Po raz pierwszy w życiu leciał helikopterem, a po godzinie wznoszenia się i opadania nad Atlantykiem nie jest mu spieszno do powtórzenia tego przeżycia. Czuje mdłości, jakich dostaje się po przykrej jeździe kolejką w wesołym miasteczku, kiedy mózg zaczyna wirować wokół jednej osi, a narządy wewnętrzne wokół drugiej. Spaliny również nie pomagają. Podobnie jak obezwładniająca woń farby i lakieru oraz pokład wibrujący pod stopami.

Naomi obejmuje męża w pasie i ściska przez skórzaną kurtkę z grubą podpinką. John ma niezłe pojęcie o tym, co się dzieje w jej głowie, bo przeżywa to samo. Przykre poczucie ostateczności. Dotychczas wszystko było zaledwie pomysłem, który w każdej chwili mogli porzucić. Teraz już nie. Patrząc na żonę, myśli: Tak bardzo cię kocham, moja Naomi. Jesteś taka dzielna. Czasem wydaje mi się,

że jesteś znacznie dzielniejsza niż ja.

Helikopterem rzuca na bok, ryk silnika się wzmaga, światło na kadłubie miga, potem maszyna skręca, sunie nad wodą, ostro nabiera wysokości i zostawia ich w tyle. John patrzy za helikopterem, a potem opuszcza wzrok na spieniony ocean ciągnący się ku niewyraźnemu horyzontowi.

– OK? Proszę za mną.

Wychodzi ich powitać uprzejmy, poważny Filipińczyk w białym kombinezonie. Bierze ich bagaże i otwiera drzwi.

John i Naomi przestępują próg i schodzą pod pokład, a drzwi zatrzaskują się za nimi, odgradzając ich od żywiołów. W nagłej ciszy widzą na ścianie oprawioną mapę oceanu, uderza ich ciepło, czują jeszcze silniejszą woń farby i lakieru. Podłoga trzeszczy pod stopami. Naomi ściska męża za rękę. Marna z niej żeglarka, zawsze tak było – na niewielkich jeziorkach dostaje choroby morskiej – a dzisiaj nie może nic zażyć. Żadnych pigułek, żadnych leków; będzie musiała dać radę. John odwzajemnia uścisk, próbując dodać otuchy zarówno Naomi, jak i sobie.

Czy postępujemy słusznie?

Tysiące razy zadawał sobie to pytanie. Będzie je zadawał jeszcze całymi latami. Teraz może tylko przekonywać żonę i siebie, że, owszem, postępują słusznie. To wszystko. Robią to, co należy.

Naprawdę tak jest.

2

Kajutę, która przez kolejny miesiąc miała być ich domem, w broszurze pływającej kliniki opisano szumnie jako „prywatną kabinę". Na jej wyposażenie składało się podwójne łóżko, niewielka kanapa, dwa równie niewielkie fotele oraz okrągły stół, na którym stała misa z owocami – wszystko upchnięte na przestrzeni wielkości małego pokoju hotelowego. W telewizorze wysoko w rogu leciały wiadomości CNN. Przemawiał prezydent Obama, ale połowę jego słów zagłuszały zakłócenia.

Wyłożona marmurem łazienka, choć ciasna, sprawiała wrażenie luksusowej – w każdym razie tak by było, pomyślała Naomi, gdyby przestała się kołysać i gdyby dało się w niej stanąć bez podpórki. Naomi uklękła, by zebrać rzeczy z kosmetyczki Johna turlające się po podłodze, lecz nagle poczuła falę zawrotów głowy i mdłości i wyprostowała się.

– Pomóc ci? – spytał John.

Pokręciła głową. Potem, zatoczywszy się przy nagłym przechyle statku, raptownie usiadła na łóżku, o mały włos nie zawadzając o komputer męża.

– Myślę, że mam około czterech minut na rozpakowanie się, zanim wszystko zwymiotuję.

– Mnie też jest niedobrze – przyznał John i zerknął na informacje dotyczące bezpieczeństwa. Był tam plan ewakuacji i rysunek pokazujący, jak włożyć kamizelkę ratunkową.

– Może połkniesz pigułkę przeciwko chorobie morskiej? – zaproponowała. – Przecież ci wolno.

– Jeśli tobie nie wolno, ja też nie połykam. Będę cierpiał razem z tobą.

– Męczennik! – Naomi odwróciła głowę, pochyliła się w przód i pocałowała go w policzek.

Ciepła, szorstka skóra męża oraz odurzający piżmowy zapach wody kolońskiej dodały jej otuchy. Gdy była nastolatką, na filmach zawsze pociągali ją silni, małomówni, inteligentni mężczyźni – w typie ojca, jakiego pragnęłaby mieć. Kiedy przed ośmioma laty poznała Johna, w kolejce do wyciągu narciarskiego w Jackson Hole w stanie Wyoming, największe wrażenie wywarły na niej właśnie te cechy: przystojna twarz i wewnętrzna siła.

– Kocham cię, John – powiedziała, całując go ponownie.

Spojrzał jej w oczy, które czasem miały barwę zieleni, czasem stawały się piwne, ale zawsze przepełniał je wyraz bezgranicznej ufności i migotały w nich ogniki. Myśl o żonie przeszyła mu serce nagłym bólem.

– A ja cię uwielbiam, Naomi. Uwielbiam cię i podziwiam.

– Ja też cię podziwiam – odparła z melancholijnym uśmiechem. – Nie masz pojęcia jak bardzo.

Na kilka minut zapadło milczenie. Po śmierci Halleya musiało upłynąć sporo czasu, zanim sprawy między nimi się naprawiły, a w ciągu początkowych dwóch ponurych lat Naomi wielokrotnie obawiała się, że jej małżeństwo się skończyło.

Halley był silnym dzieckiem. Nadali mu imię na cześć komety, bo John uznał, że mały jest wyjątkowy, a dzieci takie jak on przychodzą na świat dość rzadko, może raz na siedemdziesiąt pięć lat, pewnie nawet rzadziej. Ani John, ani Naomi nie wiedzieli, że ich syn urodził się z bombą zegarową tykającą w ciele.

Do dziś nosiła w torebce jego zdjęcie. Przedstawiało trzylatka w ogrodniczkach, ze zmierzwioną szopą jasnych włosów, jakby właśnie wypełzł z suszarki. Uśmiechał się szeroko do aparatu, odsłaniając dziurę po dwóch przednich zębach, które stracił, gdy zleciał z huśtawki.

Po śmierci syna John długo nie chciał – lub nie potrafił – prze-

żywać żałoby albo o nim mówić. Całkowicie pogrążył się w pracy, szachach i fotografii; bez względu na pogodę całymi godzinami chodził z aparatem i robił zdjęcia absolutnie wszystkiego, co zobaczył, obsesyjnie i bez celu.

Naomi próbowała wrócić do pracy. Dzięki wstawiennictwu przyjaciółki z Los Angeles dostała dobrą tymczasową posadę w firmie PR, ale ponieważ nie mogła się skoncentrować, po paru tygodniach odeszła. Bez Halleya wszystko wydawało się jej płytkie i bezsensowne.

W końcu oboje poszli na terapię; zakończyli ją dopiero przed kilkoma miesiącami.

– Co czujesz w związku z… – spytał John.

– Byciem tutaj?

– Tak. Co czujesz, kiedy wreszcie tu dotarliśmy?

Stojąca na komodzie taca z butelką wody mineralnej i dwiema szklankami przesunęła się o kilka centymetrów, po czym znieruchomiała.

– Nagle to wszystko wydaje się bardzo realne. Jestem zdenerwowana jak diabli. A ty?

– Kochanie, jeśli na jakimkolwiek etapie zechcesz przerwać… – John czule pogładził żonę po włosach.

Aby to sfinansować, zaciągnęli ogromną pożyczkę w banku; poza tym matka Naomi i Harriet, jej siostra z Anglii, uparły się, by im pożyczyć dodatkowe sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Cała kwota, czterysta tysięcy, została już wpłacona i nie podlegała zwrotowi.

– Podjęliśmy decyzję – powiedziała Naomi. – Trzeba iść dalej. Nie musimy…

Rozmowę małżonków przerwało pukanie i głos:

– Obsługa!

Drzwi się otworzyły i na progu uśmiechnęła się do nich niska, sympatyczna Filipinka w białym kombinezonie i tenisówkach.

– Doktorze Klaesson, pani Klaesson, witamy na pokładzie. Mam na imię Leah i będę waszą stewardesą. Czy coś państwu

przynieść?

– Oboje mamy mdłości – powiedział John. – Czy żonie wolno coś zażyć?

– Naturalnie, zaraz coś przyniosę.

– Naprawdę? – zdziwił się John. – Sądziłem, że nie ma lekarstwa…

Stewardesa zamknęła drzwi, a niespełna minutę później wróciła z dwiema parami opasek na nadgarstki i dwiema parami małych plastrów. Odsłoniwszy mankiety kombinezonu, pokazała, że sama nosi podobne opaski; następnie zademonstrowała plastry za uchem.

– Kiedy je założycie, nie będzie wam niedobrze – powiedziała, po czym pokazała, jak to zrobić.

Naomi nie miała pewności, czy polegało to na efekcie placebo, czy to naprawdę działało, w każdym razie już kilka minut po odejściu stewardesy poczuła się nieco lepiej. Przynajmniej na tyle, by wrócić do rozpakowywania bagaży. Wyprostowała się i przez chwilę wyglądała przez jeden z dwóch bulajów na ciemniejący ocean. Po chwili odwróciła się jednak, bo widok fal momentalnie znów wywołał mdłości.

John całą uwagę skierował na swój laptop. Podczas podróży przestrzegali pewnej zasady: ona rozpakowywała się, a on nie wchodził jej w drogę. Był najgorszym na świecie pakowaczem i jeszcze gorszym rozpakowywaczem. Naomi patrzyła z rozpaczą na rzeczy z mężowskiej walizki, które porozrzucał wszędzie w poszukiwaniu ładowarki. Część jego ubrań leżała na kapie na łóżku, inne cisnął na fotel, jeszcze inne na podłogę. Wpatrywał się bacznie w ekran, nieświadom chaosu, jaki wokół siebie stworzył.

Z szerokim uśmiechem Naomi zebrała krawaty i pokręciła głową. Gniewanie się nie miało sensu.

John poprawił opaski na nadgarstkach, dotknął plastra za uchem, lecz mdłości nie ustawały. Próbując ignorować kołysanie statku, skoncentrował się na partii szachów rozgrywanej z niejakim Gusem Santiano z Brisbane w Australii, poznanym na portalu

szachowym.

Grał z tym człowiekiem już od paru lat. Nigdy nie spotkali się poza cyberprzestrzenią, John nie wiedział nawet, jak wygląda jego przeciwnik. Australijczyk grał ostre szachy, ale w tej konkretnej partii coraz dłużej zastanawiał się między posunięciami, utrzymując beznadziejną pozycję ze zwykłej złośliwości. Znudzony John zaczął się zastanawiać nad znalezieniem nowego przeciwnika. Gus tymczasem zrobił kolejny bezsensowny ruch.

– Pieprz się, panie Santiano.

John zaszachował przeciwnika. Gus miał hetmana, dwa gońce i wieżę mniej, nic nie mogło go uratować, więc czemu, do diabła, po prostu się nie podda? John napisał maila z taką propozycją i podłączył komórkę do komputera, aby go wysłać. Brak sygnału.

Za daleko wypłynęliśmy w morze, pomyślał. Przy łóżku stał telefon z łączem satelitarnym, ale na plakietce była informacja, że minuta kosztuje dziewięć dolarów. Za drogo. Gus Santiano będzie musiał poczekać w napięciu.

John zamknął folder szachowy, otworzył pocztę elektroniczną i zaczął się przekopywać przez dziesiątki wiadomości, które ściągnął tego ranka, ale nie miał jeszcze okazji przeczytać. Na myśl o wysyłaniu i odbieraniu maili, skoro przez kolejny miesiąc mieli się znajdować poza zasięgiem sygnału komórkowego, ogarnęła go lekka panika. Na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, gdzie prowadził laboratorium badawcze, otrzymywał przeciętnie sto pięćdziesiąt maili dziennie. Dzisiaj odebrał blisko dwieście.

– To niesamowite, kochanie! Pamiętasz, żebyś to czytał?

John podniósł wzrok i zobaczył, że Naomi trzyma otwartą broszurę.

– Zamierzałem przeczytać to za chwilę jeszcze raz.

– Mają tylko dwadzieścia prywatnych kabin dla klientów. Ładny eufemizm. Miło słyszeć, że jesteśmy klientami, a nie pacjentami. – Naomi czytała dalej: – Dawniej statek zabierał na pokład pięciuset pasażerów, obecnie dwa główne pokłady z kabinami są całkowicie zajęte przez komputery. Mają na pokładzie pięćset

superkomputerów! W głowie się nie mieści! Po co im tyle mocy obliczeniowej?

– Genetyka wymaga obliczeń na wielką skalę. Między innymi za to płacimy. Pokaż.

Naomi wręczyła mężowi broszurę. Spojrzał na zdjęcie przedstawiające długi, wąski rząd niebieskich komputerów i samotnego operatora w bieli, który sprawdzał coś na monitorze. John wrócił na początek broszury i przyjrzał się fotografii, którą wcześniej widział na stronie internetowej naukowca; pamiętał ją też z wywiadów telewizyjnych i licznych artykułów ukazujących się zarówno w prasie naukowej, jak i popularnej. Chociaż znał ją już niemal na pamięć, pobieżnie przeczytał biografię naukowca.

Doktor Leo Dettore był cudownym dzieckiem. W wieku szesnastu lat ukończył z wyróżnieniem biologię na MIT, następnie obronił doktorat z biologii i medycyny na Stanfordzie, potem przyszła kolej na badania w dziedzinie biotechnologii na Uniwersytecie Południowej Kalifornii i w Instytucie Pasteura we Francji. Później Dettore wyodrębnił i opatentował modyfikację kluczowego enzymu, który pozwalał na wydajną replikację genów, dzięki czemu reakcja łańcuchowa polimerazy przestawała być potrzebna. Dzięki tym dokonaniom został miliarderem, otrzymał tytuł MacArthur Fellow, chcieli go też uhonorować Nagrodą Nobla, której jednak nie przyjął, wywołując szum w społeczności naukowej stwierdzeniem, że, jego zdaniem, każda nagroda ma zabarwienie polityczne.

Niezależny genetyk nie przestawał szokować medycznego establishmentu. Jako jeden z pierwszych zaczął uzyskiwać patenty na ludzkie geny i aktywnie zwalczał prawodawstwo blokujące takie patenty.

W chwili obecnej Leo Dettore należał do najbogatszych naukowców na świecie, niewykluczone, że był też najbardziej kontrowersyjny. Potępiany przez przywódców religijnych w Stanach Zjednoczonych i wielu innych krajach, został pozbawiony prawa praktykowania medycyny w Stanach, gdy publicznie przyznał, że prowadzi doświadczenia na embrionach, które później przezna-

czano na straty. Dettore niewzruszenie bronił swoich przekonań.

Teraz pukał do drzwi ich kabiny.

3

Gdy Naomi otworzyła drzwi, powitał ją wysoki mężczyzna w białym kombinezonie i tenisówkach – najwyraźniej standardowym stroju na statku. W dłoni trzymał grubą kopertę. John natychmiast go rozpoznał i wstał.

Zdziwiło go, jak imponujący okazał się genetyk w rzeczywistości, znacznie wyższy, niż John się spodziewał, o dobrą głowę wyższy od niego; musiał mieć ponad metr dziewięćdziesiąt. Poza tym John rozpoznał głos – rozbrajający południowokalifornijski akcent znamionujący pewność siebie – zapamiętany z rozmów telefonicznych prowadzonych w ostatnich miesiącach.

– Doktor Klaesson? Pani Klaesson? Jestem Leo Dettore. Mam nadzieję, że państwu nie przeszkadzam.

Człowiek, któremu oddali praktycznie wszystkie swoje pieniądze oraz sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które do nich nie należały, niespiesznie i mocno uścisnął dłoń Naomi, patrząc jej w oczy. W bystrych, czujnych szarych oczach genetyka migotały ciepłe ogniki. Naomi zmusiła się do uśmiechu i ze zgrozą zerknęła na ubrania walające się wokół Johna, żałując, że nie zdążyła posprzątać.

– Nie, zupełnie nam pan nie przeszkadza. Proszę wejść – powiedziała.

– Chciałem tylko wpaść, przedstawić się i dać państwu coś do czytania. – Musiał się schylić, by wejść do kabiny. – Bardzo się cieszę, że w końcu pana poznaję, doktorze Klaesson.

– Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze Dettore.

Uścisk dłoni genetyka był silny; ten człowiek przejmował kontrolę nad powitaniem, najwyraźniej tak jak nad całą resztą. John poczuł chwilowe zakłopotanie, bo odniósł wrażenie, że Dettore sygnalizuje mu coś uśmiechem, jak gdyby łączył ich tajny pakt. Może chodziło o niewypowiedziane porozumienie między dwoma naukowcami, którzy pojmowali znacznie więcej niż Naomi.

Nie taka była jednak intencja Johna. Na samym początku on i Naomi podjęli decyzję wspólnie, świadomie i na równych zasadach. Niczego nie chciał przed nią ukrywać; nie zamierzał przeinaczać ani przekręcać żadnych faktów. Koniec, kropka.

Szczupły i opalony, o szacownej śródziemnomorskiej urodzie, Leo Dettore wprost emanował pewnością siebie i wdziękiem. Zęby miał w nienagannym stanie, zaczesane schludnie do tyłu ciemne i bujne włosy z pasemkami siwizny na skroniach robiły wrażenie. Chociaż miał sześćdziesiąt dwa lata, bez trudu mógł uchodzić za człowieka o dobre dziesięć lat młodszego.

Naomi bacznie mu się przyglądała, szukając rys na fasadzie, próbując zgłębić nieznajomego, któremu w praktyce powierzali całą swoją przyszłość; obserwowała jego twarz i mowę ciała. Jej pierwszą reakcją było rozczarowanie. Otaczała go aura, z jaką stykała się w pracy w firmie PR, aura, którą roztaczali tylko ludzie bardzo zamożni, ta niemal nieuchwytna cecha, jaką dawało się kupić jedynie za majątek. Genetyk był zbyt gładki, zbyt fotogeniczny, za bardzo przypominał kandydata na prezydenta przymilającego się o głosy albo magnata przemysłowego gawędzącego na spotkaniu udziałowców. O dziwo jednak, im dłużej mu się przyglądała, tym większego nabierała do niego zaufania. Mimo wszystko było w nim coś autentycznego.

Po chwili zwróciła uwagę na jego dłonie. Miał delikatne palce. Nie były to palce polityka ani biznesmena, ale prawdziwego chirurga, długie, owłosione, o nienagannych paznokciach. Naomi przypadł też do gustu jego głos, szczery i kojący. Cała fizyczność doktora Dettorego świadczyła o jego pewności siebie. Potem – jak

często w minionych tygodniach – przypomniała sobie, że zaledwie parę miesięcy wcześniej „Time” zamieścił na okładce jego zdjęcie z pytaniem: FRANKENSTEIN DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO WIEKU?

– Wie pan, intryguje mnie pańska praca, doktorze Klaesson – powiedział genetyk. – Może w najbliższych dniach zdołamy o niej porozmawiać. Kilka miesięcy temu czytałem pański artykuł w „Nature”… Czy to był numer lutowy?

– Zgadza się.

– Geny wirtualnego psa. Fascynujące!

– To był duży eksperyment – powiedział John. – Trwał blisko cztery lata.

Opracował symulację komputerową, pokazującą ewolucję psa na tysiąc pokoleń naprzód.

– Doszedł pan do wniosku, że psy stały się tak bliskie ludziom, że w miarę jak będziemy ewoluować, z nimi będzie podobnie. W rezultacie, w miarę jak dominacja ludzi na planecie będzie rosła, psy staną się coraz inteligentniejsze. Ten oryginalny tok myślowy bardzo mi się spodobał.

Fakt, że naukowiec rangi Dettorego nie tylko czytał, ale wręcz chwalił jego pracę, pochlebiał Johnowi.

– Tak naprawdę polegało to na opracowaniu kilku kluczowych algorytmów, które wyjaśniały, jak przezwyciężenie epistazy wpływa na szybkość procesu adaptacji – odparł skromnie.

– Ale nie przeprowadził pan jeszcze symulacji ewolucji człowieka na tysiąc pokoleń w przyszłość?

– To zupełnie nowy zbiór parametrów. Po pierwsze, napisanie programu stanowi nie lada wyzwanie, po drugie na Uniwersytecie Południowej Kalifornii nie dysponujemy taka mocą obliczeniową. Ja…

– Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać – przerwał mu Dettore. – Gdyby mogło to posunąć sprawy naprzód, mógłbym przekazać darowiznę.

– Z radością o tym pomówię – zapewnił John, podniecony my-

ślą, że pieniądze Dettorego mogłyby się przyczynić do postępu jego badań, w tej chwili nie chciał jednak zbaczać z głównego kursu. Na tym statku najważniejsza była Naomi, nie jego praca.

– Świetnie. W najbliższych tygodniach będziemy mieli mnóstwo czasu. – Dettore umilkł, spojrzał najpierw na Johna, potem na jego żonę. – Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co się stało z państwa synem.

Naomi wzruszyła ramionami, czując takie samo ukłucie bólu, jakie pojawiało się, ilekroć o tym mówiła.

– Dzięki – wykrztusiła głosem zdławionym przez emocje.

– To bardzo trudna rzecz. – Genetyk utkwił w niej spojrzenie szarych oczu i dodał: – Ludzie, którzy nie przeżyli śmierci dziecka, nie mogą mieć o tym pojęcia.

Skinęła głową.

Nagle posmutniawszy, Dettore zwrócił się do Johna, jakby pragnął włączyć go do rozmowy.

– Moja była żona i ja straciliśmy dwoje dzieci: jedno miało rok, gdy zmarło na dziedziczną chorobę genetyczną, drugie w wieku sześciu lat na zapalenie opon mózgowych.

– Nie… nie wiedziałam. Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziała Naomi, po czym zwróciła się do męża: – Nie wspomniałeś mi o tym.

– Ja też nie wiedziałem – rzekł John. – Przykro mi.

– Nie było powodu, żebyście państwo wiedzieli. Nie trąbię o tym wszem wobec. Postanowiliśmy, że zachowamy to w tajemnicy. Ale… – Genetyk rozłożył ręce. – Jest to jedna z głównych przyczyn, dla których tutaj jestem. W życiu wydarzają się pewne rzeczy, do których nie powinno dochodzić, a nauka może im zapobiec. W gruncie rzeczy na tym właśnie polega działalność tej kliniki.

– I dlatego tu jesteśmy – zauważyła Naomi.

– Jak minęła państwu podróż? – spytał z uśmiechem Dettore. – Złapaliście nocny lot z Los Angeles?

– Polecieliśmy w dzień i spędziliśmy wczorajszy wieczór w Nowym Jorku – odparł John. – Zjedliśmy kolację z przyjaciółmi. Lu-

bimy nowojorskie restauracje.

– Jedną z dziedzin interesujących mojego męża jest jedzenie – wtrąciła Naomi. – Tyle że każdą potrawę traktuje jak doświadczenie naukowe. Wszyscy świetnie się bawią, ale z jego jedzeniem zawsze jest coś nie tak. – Ciepło uśmiechnęła się do męża.

– Przyrządzanie potraw to nauka. – Uśmiechnął się, kiwając przepraszająco głową. – Nie zamierzam płacić za testy laboratoryjne jakiegoś mistrza kuchni.

– Ciekawe, jak ocenicie państwo jedzenie na pokładzie – powiedział Dettore.

– Czuję się tak, że raczej nie zdołam spojrzeć na jedzenie – przyznała się Naomi.

– Lekka choroba morska?

– Lekka.

– Prognoza na najbliższe kilka godzin nie jest dobra, potem ma się przejaśnić. Jutro powinien być piękny dzień. – Genetyk zawahał się i zapadło niezręczne milczenie. Gdy statkiem rzuciło, oparł się ręką o ścianę. – Plan jest następujący: Dziś wieczorem się rozgościcie i zjecie kolację w kabinie. – Podał im kopertę. – Naomi, to jest formularz dotyczący stanu zdrowia. Chciałbym cię prosić o wypełnienie go. Oboje powinniście też podpisać zgodę. Wkrótce pielęgniarka pobierze od was próbki krwi. Już przeanalizowaliśmy te, które nam przysłaliście, sporządziliśmy mapę waszych genomów. Rano im się przyjrzymy. Spotykamy się w moim gabinecie o dziesiątej. Czy mógłbym jeszcze coś dla was zrobić?

Wcześniej Naomi sporządziła listę miliona pytań, które chciała zadać, ale teraz, z podrygującymi wnętrznościami, skupiła się tylko na jednym: za wszelką cenę starała się nie zwymiotować.

Dettore wyjął z kieszeni mały pojemnik i wręczył Naomi.

– Proszę zażywać jedną dwa razy dziennie z jedzeniem. Wiemy, że ten lek pomoże epigenetycznie zmodyfikować płód natychmiast po poczęciu. – Uśmiechnął się i ciągnął: – Jeśli zechce pani o czymkolwiek porozmawiać, proszę po prostu podnieść słuchawkę i wybrać mój numer wewnętrzny. Do zobaczenia rano. Dobrej nocy.

Leo Dettore zniknął.

– Czy on ma świetne geny, świetnego chirurga plastycznego, czy świetnego dentystę? – spytała męża Naomi.

– Co o nim sądzisz? – John spojrzał na nią z niepokojem.

Twarz jej pobladła, po policzkach spływał pot.

Naomi upuściła pojemnik i rzuciła się do łazienki.